

Wiosna 1944 r. Skąpe wiadomości donosiły o cofaniu się wojsk niemieckich ze Wschodu. Wielu mieszkańców Warszawy gromadziło się na ulicach, przy głośnikach, aby wysłuchać ostatnich komunikatów z frontu. Stałem więc z grupą kolegów na pl. Krasińskich u zbiegu ulic Długiej i Miodowej. Z głośnika słyszymy o nowej koncentracji wojsk... gdy spod tunelu na ul. Bonifraterskiej wyjechały z wielką szybkością dwa ciężarowe samochody. Straszny zgrzyt i pisk hamulców, a powietrzem targnęła seria z automatu. Tylne klapy samochodów opadły i zaczęli z nich wyskakiwać żołnierze niemieccy. Wszystko działo się tak błyskawicznie, że nie wiedzieliśmy co ze sobą robić. Łapanka. Część żołnierzy biegła w naszą stronę. Kto jeszcze mógł, uciekał. Wbiegłem w ul. Miodową. Skręcam w pierwszą bramę na lewo. Widzę uchylone drzwi – to kaplica Palotynów. Gdzie się schować? Szansą był konfesjonał. Podbiegam. W konfesjonał siedział kapłan. – Proszę księdza łapanka. Niemcy nas gonią. – Przykleknij i spowiadaj się. Kłęcząc przy konfesjonał słyszę skrzyp drzwi i ciężkie buty. Za mną stał żołnierz niemiecki. – Spowiadaj się głośno – mówi ksiądz. Jestem nieprzygotowany, proszę księdza. Spowiadaj się głośno – słyszę ponownie. Zrobiło mi się duszno i czuję, że cały jestem mokry. Zaczęłam mówić. Głośno. Długo mówiłem. Pewnie ze strachu. Dziś wydaje mi się, że ksiądz miał mnie chyba za największego grzesznika na świecie. W pewnej chwili słyszę: dosyć, już poszedł. A potem ciepłe i dobrotliwe słowa: Pamiętaj, żebyś na drugi raz był lepiej przygotowany. Długo jeszcze kłęczałem w kaplicy. Kiedy wyszedłem na ulicę ruch był normalny. Jadąc tramwajem na Żoliborz, wydawało mi się, że koła dudnią: Pamiętaj, żebyś był zawsze przygotowany...

*

1 sierpnia 1944 roku. Był bardzo upalny dzień. Od rana siedzimy na ul. Harcerskiej 4 i czekamy na godzinę „W”. Byliśmy szczęśliwi, że to już dzisiaj o godz. 17.00 pójdziemy bić się o Polskę. Dochodziła godzina 14.00 kiedy od strony ul. Stołecznej rozległy się strzały. Rzuciliśmy się do okna skąd wspaniale było widać cały „teren” – rejon starej prochowni. Serca były nam mocno – czy to już? A oto widać oddział naszych chłopców z białoczerwonymi opaskami jak przeskakując płoty wycofują się za wały. Niedługo tam są. U wylotu „terenu” pokazał się czołg. Potem drugi. Za nimi tyraliera żołnierzy niemieckich. Nasi ostrzeliwując się biegną w kierunku naszego domu. – Uciekajcie – wołają – zaraz tu będą Niemcy.

Czołgi jada w naszą stronę. Nasza czwórka „poborowych” chowa się u sąsiada w pokoju pod podłogą. Tam jest schowek. Wchodzimy do środka. Przykrywają nas dywanem. Reszta mieszkańców zbiegła do piwnicy. Straszny huk – odezwały się czołgi. Dom się trząsa i sypa się gruz. Byłem przekonany, że jestem pogrzebany żywcem. W naszym schowku brak było powietrza. Dusimy się. Krzyczymy. Wołamy o ratunek. Chyba wieczność trwały te chwile, kiedy na pół uduszonych wyciągnięto nas spod podłogi.

Powstanie Warszawskie na Żoliborzu już się rozpoczęło. Pierwszy dom, który został rozwalony – to był mój dom. Poszedłem zobaczyć moje mieszkanie. Zwał gruzu. Wszystko rozbite i zniszczone. Kiedy stałem na stercie cegieł, zauważyłem dziwną rzecz. Na ścianie pokoju wisiał nienaruszony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. On jeden ocalał. Przed tym obrazem co wieczór odmawialiśmy pa-

cier modląc się, aby była Polska. Długo na niego patrzyłem. Rozpoczęło się Powstanie Warszawskie.

*

Nasz oddział O.P.L. stał przy ul. Hozjusza. Jest wieczór. Nad Żoliborzem wielka tupa ognia. Pali się klasztor Zmartwychwstanek. Otrzymujemy rozkaz wymarszu. Po drodze zatrzymuje nas patrol. Stój! Kto idzie. Hasło? Chyba zmiana hasła nastąpiła, bo nas stawiają pod płot, a „Konrada” biorą na posterunek. Za płotem słychać cichą rozmowę i kopanie ziemi. Wyteżamy wzrok. Dó! kopie nagi mężczyzna, a przy nim dwóch z bronią. Domyśliamy się – kopie grób dla siebie. Coś, w gardle zatyka. Za chwilę dwa strzały i głuchy upadek ciała. Sypie się ziemia – ogródek wyrównany. Kto będzie wiedział, że tu

wimy różaniec. Wstaję i przed figurą Matki Bożej zapalam świeczkę. Słyszę protesty. Nalegam. Wreszcie kłęczymy za wyjątkiem Ludwika, który przewrócił się na drugi bok i chyba udaje, że śpi. Straszny huk – lecą cegły, sypie się gruz, na miejsce gdzie przed chwilą leżeliśmy na siennikach. To pocisk jeden czy dwa uderzają w zewnętrzną ścianę domu i wpychają cegły do środka. Dusząc się okropnie, wyczołgałem się na korytarz. Za mną następnymi koledzy. Nie ma Ludwika. Wracamy z powrotem. Ludwik leży przysypany gruzem. Wyciągamy go. Cały pokrwawiony. Patrzę na jego rany i wciąż pytam: czemu nie chciałeś odmawiać różańca?

*

Zadanie, które otrzymujemy zaskakuje nas. Musicie nanosić wody. No

cztery metry ode mnie. Bluznęły kamienie i piasek. Nie eksplodował. Leżał w ulicznym leju jak baranek. Patrzyłem oślepiały nadszedł trzymając ręką szkaplerz.

Z dala słyszę krzyk: kościół się pali. Podniosłem wiaderka z wodą i szybkim krokiem, pospieszyłem na plac przykościelny. Na schodach probostwa stał proboszcz, ks. prałat Ugniewski. Stał i wołał, aby ratować kościół. Kiedy zobaczył mnie i kolegę z wodą wprost błagał: ratujcie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Wbiegamy do płonącego kościoła. Widzę wynoszących piszczałki organowe. Po chwili jesteśmy w bocznej kaplicy gdzie znajdował się ołtarz z wizerunkiem Czarnej Madonny. W kaplicy pełno dymu. Przez otwór w suficie bucha ogień. W każdej chwili może się zaważyć. Wskakujemy na ołtarz. Bijemy świecznikami szkła i wyłamujemy żelazne drzwiczki. Chwyta-

Wspomnienia z Powstania



my za ramy obrazu. Szarpimy. Nie chce puścić. Długo szarpimy. Wreszcie haki puścili. Obraz jest w naszych rękach. Pomału wynosimy go z kaplicy pełnej dymu tak, że nic nie widać. I oto jesteśmy na dworze. Za nami huczy ogień, pali się kościół. Obraz niesiemy do ks. Prałata. Płacz. Kłęką i całuje go.

Dziś wisi na swoim miejscu. Czasami gdy przyjadę na Żoliborz, idę do kaplicy Matki Bożej i długo na niego patrzę. Przychodzą wspomnienia. Modłę się chyba dziwnie: Matko Najświętsza uratowałaś Cię – teraz Ty mnie ratuj.

*

Po ucieczce z transportu, który wiozł nas do obozu, znalazłem się w Krakowie. Niedługo cieszyłem się wolnością. Za kościołem dominikańskim na Plantach – łapanka. Nie było możliwości ucieczki. I tak znalazłem się w obozie na Prądniku w Krakowie. W baraku, w obszernej sali przy biurku siedział cywil, a obok na krześle oficer niemiecki. Spisują personalia. Nie mam żadnego dowodu. Wywołano i mnie. Cywil pyta, gdzie mieszkam, co robię... wreszcie pyta skąd mam pieniądze, kto mnie utrzymuje... Nie wiem jak się to stało, ale powiedziałem z wielką prostotą, chociaż czułem, że dziwnie to zabrzmiało: – Matka Boska jakoś o mnie pamięta. Spojrzałem wystraszony na cywila. Cywil podniósł głowę i przez długą chwilę przyglądał mi się uważnie. Potem zwrócił się do oficera i coś mu tłumaczył. O co chodziło, nie wiem. Następnie pochylił się nad biurkiem i zaczął pisać. Widzę jak stawia pieczęć, oficer podpisuje i wręcza mi blankiet mówiąc: Jesteś wolny, możesz iść. I uśmiechnął się. Siedziałem wśród baraków, ulicą obozu ściskając w rękę dziwną kartkę. Wartownia. Otwiera się brama. Jestem wolny, jestem wolny... Inni zostali, a ja jestem wolny. Jak to się stało? Ktoś naprawdę o mnie pamięta!

Ks. BOGDAN KOŃCZAK „Kodan”

Pocisk uderzył w ulicę trzy lub